



Wiersze



JACEK BIERUT



MOJE PÓŁ

Wstaję i taje, jem śniadanie i śpię,
i wstaję, zamykam oczy przed kupowaniem.
Mam ranę. Mam wielką ranę. I
ramię na broń mam stare.

Leżę żołnierzem po serii zwierzeń,
zwierzęciem leżę i strzępem sercem.
Mnie boli wnętrze. Mnie. Mnie rwie.

KRÓTKI WIERSZ O POEZJI

Nocą góry. Światła lepią się do liści zużytych
zakrętów sprawą rwącej krwi. Miejskiej
walki. Migotliwe wyjmowanie rozdętych
gwoździ wklutych w leniwą pamięć. Grzbiety.

Podfruwanie, każdy może próbować być
Słońcem. Spod przedniej szyby parskają
małe role przydrożnych krzaków. Fałszerstwa.
Opadanie kół i szkła w słynny zapach.

W radiu w tę ciszę Podsiadło jak to
poeta powoli i z wadą wymowy,
że pierwszym jest Świetlicki. Wjeżdżam.
Za to w poezji wolę formy nieosobowe.

LATO

Wiercę się po rybich śladach i ptaków
flamenco spod palców mi się płoszy.
Odwiedzam stare domy. Wymieniamy
się oddechem. Rozmawiam z kobietą,
bardziej czując smród jej papierosa
niż głębin rdzę. Przypomina mi się wiersz
o mojej krwi, która nie należy
do nikogo i nawet jadę do Kaolinu
szukać go w ruinie. Leżą tam tylko
podarte bobry dziewczyn z plakatów
i przewracane grzyby. W miejscu gdzie
posadziłem drzewo rośnie las.
Dziadek z Mirska, który kiedyś chciał ode mnie
kupić hasz, bo mu przestała wystarczać woda,
przeszedł na szamanizm, oblekł się w skóry.
Ale żyje. Mojego zakopałem we własnym
ślubnym garniturze. Przypominał kamień.
Kiedy przyszła noc, stanąłem. Odrąbane
ręce ułożyłem na liściach.
Jak drzewa. Z głowy puściłem korzeń.

WOLNOŚĆ I POKÓJ Z KUCHNIĄ

Na szczura w ubraniu wziętki
pełne niebezpieczeństw z konsekwencją
obleczoną słowem żywym jak karp
u twojego sprzedawcy, gorętsze nawet
od tych na płonącą odzież i na tę
z wielbłądziej wełny. Przywołujesz
konkret i rośniesz. To może być
tak. O trzeciej ciągnął mnie
do lasu koło Ligoty Małej, żeby więcej
żyć, koło czwartej zasnął. O świcie
sam dotarłem, jak pierwszy motyl
sfrunął z powiek jego sławnej strony.
Trauma. Rolnik, siejąc tu ziarno,
przewidział kłos, ale mnie nie przewidział
i szarańczy, jaką wniosłem,
a trzeba siać bez wieloznaczności, jak spać
we własnym domu, żeby urzędnik nie skopał
ci drzwi i psa nie zastrzelił, żeby szczur
nie zamieszkał ci w ubraniu
i wziętki nie dusiły się własnym
oddechem. A teraz to już i agroturystyka
tu padnie i nie będzie przeciw czemu
płomieniami odziewać się

i stać.

KLEINE HEUSCHEUER

Dwa ptaki wiszą przebierając wiatr.
Słońce zmiękcza skały. U stóp mojej góry
ktoś poustawiał tabliczki zakazujące wstępu
pod karą. Wygrzewam się z jaszczurką.
Amfiteatr białych kamieni zamarł
od klangorzenia krzywych dziobów.
Kiedy unoszą mi się ręce, dotyka ich
ciepły prąd. Ze szczelin, którymi tu dotarłem,
bucha stary chłód. Wiatr porywa ptaki. Zbieram
kilka patyków na ogień. Siadam w czole.
Coś pod moim żebrem drży. Śpiewam
prostą melodię, używając szeleszczących
głosek. Ogień gaśnie. Śpię. Budzi mnie
skrzypienie. Szron. W dole ciemno.
Nie schodzę. Na szczycie widowni siedzi sowa.
Patrzy mi pod mostek. Mówię do niej
tyłem krtani, że tego akurat nie.

* * *

To miało być miejsce, w którym umrą
koty, a nie ja dziś albo kiedyś. Idź stąd,
ty idź. Wylałem mleko, zjadłem pomidory,
leżę. Leżę. Nie będę spał, nie będziesz mi
się śnić. Idź. Kup coś. Jakieś ładne
buty. Idź. Bieliznę. Żebyśmy jeszcze żyli. Idź.

Kup ten rok, który zleciał nam bez forsy
i bez ludzi, ten dzień, kiedy odkuwałem
z dachu lód. Idź. Idź stąd, ty idź. Nie będę
spał, nie będziesz mi się śnić. Tylko idź.

NA LOTNISKO WCIĄŻ ODPROWADZANO JEDNO SKRZYDŁO

Dać się złapać na kradzieży czekolady
i pójść siedzieć

na tarasie, lekko licząc lata
wyskrobanym dzieciom koleżanek,

jakby to była centralna komnata,
która nigdy nie może być pusta,

choć ty już wiesz, że nie jesteś władcą,
bo władca mówi krótko.

To spory kraj, ale chwilowo
nie ma tu nic wielkiego.

lub

To duży dom, ale chwilowo
nie ma tu nic wielkiego.

lub

To mały wiersz, ale chwilowo.
Już?

Znaleźliśmy w lesie dziecko.
Znaleźć dziecko samemu
znajdując się na wykończeniu
to perwersja, bo być ciągle
jest trudniej, niż kreślić
miłosne układy na nasypie
nieczynnej kolejki, w zapachu
skóry mieć słoneczne bąble
i resztki wiatru z byłej bazy
rolniczego kółka.

Na szczęście w porę znaleźliśmy
siebie na przystanku i, mimo że zgubieni,
wciąż się znajdujemy w drodze,
choć żadnej drogi tu już nie ma
i wyjść z opresji, bo znaleźć dziecko
lepiej z tobą, nawet kiedy wyjścia
obstawione i nie ma dróg
ucieczki, ani żadnej drogi
i przystanku.

* * *

Wydobywa się z ziemi
maszyny górnicze. Jak zostałeś
poczęty?

Pokój był pusty, tylko drabina,
na niej szmat i kubeł zasyfionych
pędzli.

Jeszcze sen w lesie
i ucieczka grzybiarzy pewnych,
że znaleźli trupa.

* * *

Wielu zaginionych przyszło tu
otoczyć się opieką. W snach
to miejsce kryje zimna woda.
Nikt nie zanurza stóp ani dłoni.
(Góry i ryby wśród zgniłych lin.)
Wielu zaginionych przyszło tu
na pewno. Mają w słoiku oczy
i kwaśny chleb. Morświny wyjadły
mięso, nie utkwi między zębami.
Nie ma już zębów. Spraw
żuchw. Rozgrzewa się lód.

WIDZĄC WSZYSTKICH NIE BĘDĄC WIDZIANYM

Wypić, usiąść na murku, palić,
jeść bułkę z gołębiem, skruszyć się
widząc wszystkich nie będąc widzianym,
jakby się jechało rowerem po burzy,
po grobli, bez roweru, w stanie

z lat osiemdziesiątych, kiedy wyskoczył
z autobusu w biegu, a to była noc,
a to było zadupie, a to nie było daleko
i nie można się było rozpuścić
w złach, zgubić w śniegu, nie znaleźć.

Można nałożyć w wierszu
wiele porządków, można je
zorganizować, nie będzie
to czytelne dla zbyt
wielu, ale oprócz autora
ktoś jeszcze powinien umieć
je przejrzeć, tak by doszło
do oddania władzy nad
ładem w ogniskach stabilnych
i nie. Jest dom, jest dach,
na dachu jest antena. Sercem
anten są dwie śrubki w puszcze,
w której szumi wiatr. Wiatr jest
podróżnikiem, ale ziemia
jest mała i pełna osobliwości,
będących niczym innym,
jak stosunkiem sił. W antenie
to jest plus i minus, dla wiatru
wyż i niż, dla świata kierunek światła,
a nie, że jest, z nami, czy bez,
dla wiersza, że aktualizuje się
w nieprzewidzianym skutku.

RUCHY POZORNE

Do tramwaju biegnie mężczyzna,
trzymający nad głową gazetę,
z tramwaju wybiega kobieta,
trzymająca tam torebkę. Jeśli
rozumiesz coraz więcej, przede
wszystkim coraz więcej
nie rozumiesz. Bo to jest tak,
wieczór z kardiologiem,
sprawy serca stają się ciemne,
on już nie wie, jak ono pracuje,
ale nie wie dlaczego, a potem
w dodatku trzeba go odprowadzić
koło tego muru i wracać samemu
przez nabrzeża, być narażonym
na szereg przygód po to tylko,
żeby nazajutrz mieć ciężkie
myśli i ciało, w którym mocniej
bije serce, nie wiadomo po co
i z jakiej przyczyny. To tak,
jak ten deszcz i tramwaj,
niby wszystko się rusza,
ta kobieta wciąż biegnie,
mężczyzna strzepuje wodę z ramion,
ale spróbuj wierzyć w to bez barwy,
bez światła, bez siebie.

OGRÓD RÓŻANY

Zabiliśmy się –
a parkan pięknie malowany
i brzmimy grubą frazą szpachli.
Każdy dzień, kiedy śmieję się
do ciebie, to *trzmiel w dziurze*
po sęku. Mam na imię parkan,
przemaalowywany, a ty jesteś ogród.
Masz na imię Farbka, a ja
jestem trzmiel. Reszta się
mieści w dziurze po sęku
(zawstydzona, że zabiliśmy się).

KRÓLESTWA ROZDZIELA INTENSYWNY ZAPACH

Na ścieżce w pobliżu kilka dni stało krzesło. Codziennie, przechodząc, miałem ochotę przysiąść i codziennie nie przysadałem. Moja ochota była tym większa, że krzesło z każdym dniem było w coraz gorszym stanie. Pewnego dnia znikło.

Podobnie koło domu, w którym nocowałem, na elektrycznych drutach nocowały szpaki. Drutów nikt nie ukradł, ale próbował, jak się dowiedziałem. Był synem mojej gospodyni i miał piętnaście lat. Dlatego miała wolny pokój.

**JEDYNY W TYM TOMIE WIERSZ BEZ TYTUŁU
(SAMO ŚWIATŁO)**

żeby mnie było widać jak przez szybę
w mieszkaniu, w którym spędziłem kiedyś noc,
z każdego kąta wyłaził tam sopel i pod kocem
łatwo dawał się znaleźć niezdobyty szczyt,
prawdopodobnie jeden z tych sześciotysięczników
zbyt niskich dla tych wszystkich wypraw.
Jedyny uczestnik tej mojej wyprawy
całą zimę codziennie ćwiczył sto
podciągnięć na futrynie balkonowych drzwi
i dobrze wtedy dolatywał odgłos *tutu, tutu*
przejeżdżających pociągów. Wiozły dokądś
różnych ludzi za pieniądze i cała ta naoliwiona
maszyna pod ludzkim ciężarem dzwoniła o szyby
tak brudne, że właściwie było przez nie widać
samo światło.

**BRZMIENIA SZUMÓW KORONY
DAWNO WYCIĘTEGO DRZEWA**

Szadź na drzewach,
a przy wejściu do domu
zobaczyłem biedronkę.

Bardzo to cieszy,
że tak dobrze widzę,
i że była z plastiku.

RON CARTER

Dzkie wysypisko śmieci,
dzikie wysypisko ludzi. Dalej las, parcele,
domki, i też śmieci. Śmieci.

Rozsyпка? Odwrót? W tyle brzmi głos
w słuchawce od specjalisty,
który to nam będzie płacił. Stąd bas.

Wysokie parcele. Niskie pozycje.
Średnie propozycje. Stać z głową w cieniu.
W gołej ziemi pracować we własnym imieniu.

Bo brzmienie trzeba mieć w palcach,
ale tak naprawdę w małym,
ale nie że w małym palcu. Bez jaj.

I ktoś przyjeżdża specjalnie
po robaki, wobec czego ledwo się trzyma
na nogach i starcie

wygląda na skomplikowany balet.
Jeż w otwartej lodówce w objęciach paproci.
Mieć go na końcu języka. Kto ci to wyjmie z ust.

MAPA JEST W WOZIE NA SIEDZENIU PASAŻERA

a kapsel w miejscu w którym kiedyś
w wirze powietrznym kręcił się worek
a ty podeszłaś prowadzić go dłonią
po bruku na nieistniejącej żyłce

i przystanęło sporo turystów z Azji i z Europy
myśląc zapewne że to uliczne popisy
za pieniądze na zabawę i uroczne życie

i naprawdę patrzyli bardziej na ciebie
niż na ten zwariowany worek

i jeden cios powietrza to zniszczył

Wiersze wybrane z tomów:

Igła (2002)

Fizyka (2008)

Frak Człowieka (2011)